

Cykl SIGMA FORCE

JAMES ROLLINS



BURZA PIASKOWA

ALBATROS

Tytuł oryginału:
SANDSTORM

Copyright © Jim Czajkowski 2004
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2018

Polish translation copyright © Grzegorz Sitek 2008

Redakcja: Beata Słama

Zdjęcia na okładce: Sergey Uryadnikov/Shutterstock & anyisa/Shutterstock

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros|Instagram.com/wydawnictwoalbatros



1

Ogień i deszcz

Londyn, Anglia

Muzeum Brytyjskie

14 listopada, godzina 1.33 czasu miejscowego

Harry Masterson miał umrzeć za trzynaście minut.

Gdyby o tym wiedział, wypaliłby ostatniego papierosa do samego filtra. Zamiast tego zgasił go po zaledwie trzech pociągnięciach i machając ręką, odpędził dym sprzed twarzy. Jeśli zostałby przyłapany na paleniu poza pokojem socjalnym ochrony, Fleming, szef ochrony muzeum, wywaliłby go z roboty. Harry już i tak miał warunek za dwugodzinne spóźnienie w zeszłym tygodniu.

Zaklął pod nosem i schował niedopalonego papierosa do kieszeni. Skończy na następnej przerwie... o ile tej nocy w ogóle będzie jakaś przerwa.

Wśród kamiennych ścian rozległo się echo grzmotu. Zimowa burza uderzyła tuż po północy salwami gradu, po których runęła ulewa grożąca zmyciem Londynu do Tamizy. Błyskawice tańczyły po niebie, widlastymi krechami przebiegając przez horyzont. Według meteorologa z BBC była to jedna z najintensywniejszych burz dziesięciolecia. Pół miasta w ciemnościach, zasypywane efektownym ogniem zaporowym błyskawic.

Zrządzeniem losu było to jego pół miasta, łącznie z Muzeum Brytyjskim przy Great Russell Street. Mimo awaryjnych agregatów wezwany został cały zespół ochrony, by pilnować zbiorów. Powinni być w ciągu pół godziny. Jednak pracujący na nocnej zmianie Harry, kiedy zgasły światła, robił obchód. I chociaż dzięki awaryjnemu zasilaniu nadzór wideo działał, Fleming polecił ochroniarzom natychmiastowe sprawdzenie czterech kilometrów korytarzy muzeum.

Co oznaczało rozdzielenie się.

Włączywszy latarkę, Harry oświetlił korytarz. Nie cierpiał nocnych obchodów, kiedy muzeum było pogrążone w mroku. Jedyne światło pochodziło z ulicznych lamp za oknami. Teraz jednak zabrakło nawet tego. Muzeum tonęło w makabrycznych cieniach przełamywanych karmazynowymi plamami niskonapięciowych lampek awaryjnych.

Przydałaby mu się porcja nikotyny dla uspokojenia nerwów, ale nie mógł dłużej odkładać wykonywania obowiązków. Jako stojącemu najniżej w hierarchii nocnej zmiany polecono mu obejście korytarzy północnego skrzydła, najbardziej oddalonego od pomieszczenia ochrony. Nie oznaczało to jednak, że nie mógł pójść na skróty. Odwróciwszy się, ruszył ku drzwiom prowadzącym na Wielki Dziedziniec królowej Elżbiety II.

Prawie hektarowy dziedziniec otaczały cztery skrzydła Muzeum Brytyjskiego. W środku wznosił się kryty miedzianą kopułą Round Reading Room, jedna z najpiękniejszych na świecie bibliotek. Wyżej całą powierzchnię zamykał zaprojektowany przez Fostera i jego współpracowników gigantyczny kopulasty dach, tworząc największy w Europie kryty plac.

Harry otworzył drzwi kluczem uniwersalnym i zanurzył się w mroku. Jak i właściwe muzeum, dziedziniec tonął w ciemnościach. Wysoko nad głową deszcz bił niczym w werbel o szklany dach, mimo to słychać było, jak kroki Harry'ego odbijają się echem od ścian. Kolejna błyskawica rozdarła niebo. Podzielony na tysiąc trójkątnych tafli dach rozświetlił się na oślepiającą chwilę, po czym szumiąca deszczem ciemność ponownie załała muzeum.

Grzmot był tak głośny, że Harry'emu zadudniło w piersiach. Dach zagrzechotał. Strażnik schylił się w obawie, że cała konstrukcja się zawali.

Oświetlając drogę przed sobą, przeciął dziedziniec, idąc w stronę północnego skrzydła. Obszedł Round Reading Room. Znów rozbłysła błyskawica, na kilka uderzeń serca rozjaśniając dziedziniec. Zagubione w mroku gigantyczne posągi pojawiły się jakby znikąd. *Lew z Knidos* stał za masywną głową z Wyspy Wielkanocnej. Gdy błyskawica zgasła, wszystko pochłonęła ciemność.

Harry poczuł, że ma gęsią skórkę.

Przyspieszył. Przy każdym kroku kłął pod nosem.

– Jasny, cholerny, pieprzony szlag by to... – Ta litania pomagała mu się uspokoić.

Doszedł do drzwi wiodących do północnego skrzydła i wszedł do środka, witany znajomymi zapachami stęchlizny i amoniaku. Ucieszył się, że jest za solidnymi murami. Oświetlił korytarz. Wyglądało na to,

że wszystko jest w porządku, ale musiał sprawdzić każdą galerię w tym skrzydle. Szybko policzył: jeśli się pospieszy, skończy obchód, mając dość czasu na szybkiego dymka. Wiedziony tą obietnicą, ruszył korytarzem poprzedzany światłem latarki.

Północne skrzydło gościło rocznicową wystawę, zbiory etnograficzne obejmujące wszystkie kultury i ukazujące ludzkie osiągnięcia na przestrzeni wieków. Jak galeria egipska, z tymi wszystkimi mumiami i sarkofagami. Szedł szybko, odhaczając ekspozycje różnych kultur: celtycką, bizantyjską, rosyjską, chińską. Każdą galerię zamykała krata bezpieczeństwa, która w przypadku przerwy w zasilaniu opadała automatycznie.

Wreszcie korytarz się skończył.

Większość zbiorów znajdowała się w muzeum tymczasowo, przeniesiona z Muzeum Historii Naturalnej na czas uroczystości rocznicowych. O ile jednak Harry pamiętał, galeria na końcu holu od zawsze mieściła bezcenny zbiór antyków z całego Półwyspu Arabskiego. Nadzorowała ją i finansowała rodzina, która wzbogaciła się na przedsięwzięciach związanych z ropą w tym regionie. Donacje mające utrzymać tę wystawę w Muzeum Brytyjskim – jak mówiono – sięgały pięciu milionów funtów rocznie.

Należało szanować takie poświęcenie.

Albo i nie.

Parskając na takie tracenie kasy, Harry przesunął promieniem latarki po napisie na mosiężnej tabliczce głoszącej GALERIA KENSINGTON. Znana także jako Suczy Strych.

Mimo że Harry nigdy nie spotkał osobiście lady Kensington, wiedział z rozmów między pracownikami, że najdrobniejsze uchybienie w jej wystawie – czy to kurz na gablocie, smuga na tabliczce informacyjnej lub jakiś niedokładnie ustawiony przedmiot – spotykało się z najsurowszą reprymendą. Wystawa była jej oczkiem w głowie i każdy bał się ataków gniewu lady Kensington. Ciągnął się za nią sznur straconych etatów; podobno nawet poprzedni dyrektor pożegnał się z posadą przez nią.

Właśnie wiedza o tym zatrzymała Harry'ego chwilę dłużej przed kratą. Przesunął światłem latarki po sali wejściowej. Wszystko było w porządku.

Kiedy się odwracał, jego uwagę przyciągnął jakiś ruch.

Zamarł z latarką wycelowaną w podłogę.

Głęboko w Galerii Kensington, w jednej z dalszych sal, wędrował powoli niebieskawy poblask.

Inna latarka... ktoś tam jest...

Harry czuł w gardle bijące serce. Włamanie. Oparł się o ścianę i wyciągnął radiotelefon. Rozległo się echo grzmotu, dźwięczne i głębokie.

Włączył radio.

– W północnym skrzydle prawdopodobnie jest włamywacz. Zgłoś się. Czekaj na odpowiedź szefa zmiany. Gene Johnson mógł być łajdakiem, ale był też byłym oficerem RAF-u. Znał się na swojej robocie.

Odpowiedział męski głos, ale z powodu burzy trudno było cokolwiek usłyszeć.

– ...możliwe... jesteś pewny? ... zaczekaj, aż... kraty na miejscu?

Harry spojrzał na opuszczone kraty. Jasne, powinien sprawdzić, czy ich nie otwierano. Każda wystawa miała tylko jedno wejście od strony korytarza. No i były jeszcze wysokie okna, ale te miały zabezpieczenie antywłamaniowe. I mimo braku prądu zapasowe generatory utrzymywały sieć zabezpieczeń w stanie gotowości. W centrum dowodzenia nie odezwał się żaden alarm.

Harry wyobraził sobie, jak Johnson przełącza kamery i sprawdza całe skrzydło, zbliżając się do Galerii Kensington. Zaryzykował rzut oka na pięciosalową galerię. W głębi wystawy wciąż widać było odbłask światła. Jego ruch wydawał się bezcelowy, przypadkowy, nie przypominał zdecydowanego działania złodzieja. Szybko sprawdził kratę bezpieczeństwa. Wskaźnik jarzył się zielenią. Nie było włamania.

Znów spojrzał na odbłask. Może to tylko światła przejeżdżającego samochodu za oknami galerii?

Urywany głos Johnsona zaskoczył Harry'ego.

– Na wideo niczego nie łapiemy... Kamera piąta nie działa. Zostań tam, gdzie jesteś... zaraz będą inni...

Dalsze słowa zagłuszyła interferencja.

Harry stał przy kracie. Spieszyli mu na pomoc inni strażnicy. A co, jeśli nie ma żadnego włamywacza? Jeśli to tylko światła przejeżdżającego auta? Z Flemingiem miał już na pieńku. Brakowało tylko, żeby zrobił z siebie dumnia.

Zaryzykował i podniósł latarkę.

– Hej, ty tam! – zawołał.

Myślał, że zabrzmi to rozkazująco, ale wyszło raczej drżąco i jękliwie. Jednak wzór ruchu odbłasku nie uległ zmianie. Zdawało się, że zmierzają w głąb wystawy – nie w panicznym odwrocie, lecz powolnym, spokojnym krokiem. Żaden złodziej nie ma aż tak zimnej krwi.

Harry otworzył kratę kluczem uniwersalnym. Magnetyczne zamki

puściły. Podniósł kratę na tyle, by się pod nią przeczołgać, i wszedł do pierwszej sali. Wyprostował się i podniósł latarkę. Stłumił panikę. Powinien dokładnie sprawdzić, co się stało, zanim podniesie alarm.

Szkoda jednak została uczyniona. Najlepsze, co mógł zrobić, żeby zachować twarz, to wyjaśnić zagadkę samemu.

– Ochrona! Nie ruszaj się! – krzyknął na wszelki wypadek.

Nie dało to żadnego efektu. Odblask nie przerwał chwiejnego, wolnego ruchu w głąb wystawy.

Rzucił okiem za siebie, na kratę. Strażnicy będą za niecałą minutę.

– Chrzańc to – wymamrotał pod nosem. Pospieszyl za odbłaskiem, zdeterminowany odnaleźć jego źródło, zanim dotrą pozostali.

Nie zerknąwszy nawet na gablotki, mijają bezcenne skarby: gliniane tabliczki asyryjskiego króla Assurbanipala, pękate statuetki datowane na czasy przedperskie, miecze i inną broń z wszystkich wieków, fenickie tabliczki z kości słoniowej, opisujące starożytnych królów i królowe, a nawet pierwsze wydanie *Baśni z tysiąca i jednej nocy*, jeszcze pod tytułem *Moralista wschodni*.

Harry szedł przez sale, mijając dynastię za dynastią – od krucjat do narodzin Chrystusa, od chwały Aleksandra Wielkiego do czasów króla Salomona i królowej Saby.

Wreszcie doszedł do ostatniej sali, jednej z największych. Wyeksponowano tu przedmioty będące raczej w kręgu zainteresowań naturalisty niż etnografa, wszystkie z tego samego regionu: rzadkie kamienie i klejnoty, skamieliny, narzędzia z okresu neolitu.

Źródło blasku stało się widoczne. Niemal w centrum kopulasto sklepionej sali leniwie płynęła kula niebieskiego światła półmetrowej średnicy. Jej powierzchnia mieniła się, jakby przebiegał po niej błękitny płomień widmowo płonącego oleju.

Na oczach Harry'ego kula przepłynęła przez szklaną gablotkę jak przez powietrze. Stał oszołomiony. Do jego nozdrzy doleciał wydzielany przez kulę zapach siarki.

Kula przepłynęła przez jedną z karmazynowych lampek, zwierając ją na krótko z cichym skwierczeniem. Dźwięk wystraszył Harry'ego, który cofnął się o krok. Taki sam los musiał spotkać kamerę numer pięć w poprzedniej komnacie. Spojrzał na tutejszą kamerę. Dioda świeciła na czerwono. Działała.

Jakby nic się nie działo, przez radio znów odezwał się Johnson. Z jakiegoś powodu nie pojawiły się żadne zakłócenia.

– Harry, może lepiej się stamtąd zabieraj!

Harry stał jak wryty, na pół ze strachu, na pół ze zdumienia. Zjawisko oddalało się od niego ku mrocznemu kąтови sali.

Łuna kuli oświetliła kawał metalu w szklanym sześcianie. Była to bryła czerwonego żelaza wielkości klęczącego cielaka. Plakietka informacyjna określała ją jako wielbłąda. Podobieństwo było odległe, ale Harry przypuszczał, że przedmiot został odkryty na pustyni.

Łuna unosiła się właśnie nad tym żelaznym wielbłądem.

Harry ostrożnie cofnął się jeszcze o krok i podniósł radio do ust.

– Chryste!

Kula mieniającego się światła opadła przez szkło i wylądowała na wielbłądzie. Łuna znikła, jak zdmuchnięta świeca.

Na sekundę ciemność oślepiła Harry'ego. Podniósł latarkę. Żelazny wielbłąd stał nienaruszony w szklanym sześcianie.

– Zniknęło...

– Jesteś bezpieczny?

– Taaa. Co to, u diabła, było?

– Chyba cholerny piorun kulisty! – odpowiedział Johnson. – Słyszałem opowieści kumpi, którzy na maszynach bojowych przelatywali przez chmury burzowe. Pewnie burza toto wypłuła. Ale niech mnie szlag, jeśli to nie było kapitalne!

Na szczęście już przestało być kapitalne, pomyślał Harry z westchnieniem i pokręcił głową. Cokolwiek to było, oszczędziło mu zażenowania i drwin kolegów.

Opuścił latarkę, kiedy jednak jej światło przestało padać na wielbłąda, on nadal jarzył się w mroku głęboko czerwoną barwą.

– A teraz co znowu? – mruknął i chwycił radio. Kopnęło go ostro. Zaklął, strzepnął palcami i podniósł radio do ust.

– Dzieje się coś dziwnego. Nie wiem...

Łuna w żelazie rozjarzyła się jaśniej. Harry upadł na plecy. Żelazo płynęło po powierzchni wielbłąda, topniało, jakby poddane kwasowej kąpieli. Nie tylko Harry zauważył tę zmianę.

Radio w jego ręce warknęło:

– Harry, wiej stamtąd!

Nie dyskutował. Zaczął się podnosić, ale było już za późno.

Szklane zamknięcie wybuchło. Igły odłamków wbiły się w jego lewy bok, jeden z nich czysto przeciął policzek. Nie czuł jednak tych cięć, gdyż wybuch fali gorąca, jak z paleniska, uderzył go i spalił.

Krzyk nigdy nie opuścił jego ust.

Następny wybuch cisnął ciało Harry'ego przez galerię. Jego płonące kości uderzyły w stalowe kraty.

Godzina 1.53

Safia al-Maaz obudziła się spanikowana. Syreny wyły ze wszystkich stron. Błyski czerwonych świateł alarmowych pełgały na ścianach sypialni. Była sparaliżowana ze strachu. Nie mogła oddychać, jej czoło pokrył zimny pot. Zaciskając kurczowo palce, podciągnęła prześcieradło pod brodę. Niezdolna nawet mrugnąć, tkwiła w pułapce chwili między przeszłością i teraźniejszością.

Ryczące syreny. Echa dalekich wybuchów... i coraz bliżej krzyki rannych, umierających, jej własny głos dołączający do chóru bólu...

Na ulicy zawyły megafony:

– Droga dla wozów! Cofnąć się, wszyscy!!

Angielski... nie arabski... nie hebrajski...

Ciche dudnienie przetoczyło się przez jej apartamentowiec i uciхло w oddali.

Głosy ludzi z brygad ratunkowych ściągnęły ją na powrót do łóżka i teraźniejszości. Była w Londynie, nie w Tel Awiwie. Długo wstrzymywany oddech wydostał się na zewnątrz. W jej oczach błysnęły łzy. Wycierała je drżącymi palcami.

Atak paniki.

Przez kilka następnych oddechów siedziała owinięta wełnianą kołdrą. Nadal chciało jej się płakać. Zawsze tak jest, powtarzała sobie, ale słowa nie pomagały. Otuliła się szczelniej kołdrą, oczy zamknięte, serce bijące w uszach. Zastosowała uspokajające ćwiczenia oddechowe zalecane przez terapeutę. Wdech na dwa, wydech na cztery. Pozwalała napięciu ulatywać z każdym oddechem. Zmarznięta skóra powoli się ogrzewała.

Na łóżku wylądowało coś ciężkiego. Towarzyszył temu cichy dźwięk, jakby skrzypiących zawiasów.

Wyciągnęła rękę, rozległo się powitalne mruczenie.

– No, chodź, Billie – wyszeptła do grubego czarnego kota.

Oparłszy się o jej dłoń, ocierał się brodą o palce, po czym nagle opadł na uda Safii, jakby ktoś przeciął sznurki, które go podtrzymywały. Syreny musiały kotu przeszkodzić w zwyczajowym nocnym wędrowaniu po domu.

Ciche zadowolone mruczenie trwało w jej objęciach.

To, bardziej niż ćwiczenia oddechowe, rozluźniło napięte mięśnie barków. Dopiero wtedy zauważyła, że garbi się nieufnie, jakby bała się ciosu. Z wysiłkiem rozprostowała ramiona i szyję.

Zgiełk i syreny trwały nadal przecznicę dalej. Powinna wstać i sprawdzić, co się dzieje. Coś prostego, żeby się rozruszać. Panika przekształciła się w nerwową energię.

Przesunęła nogi, delikatnie, żeby Billie ześlizgnął się na kołdrę. Mruczenie na chwilę ucichło, ale kiedy kot przekonał się, że to nie eksmisja, znowu zamruczał. Urodził się na londyńskiej ulicy, niewychowany dachowiec, dziki kłęb sparszywiającego futra. Safia znalazła go przed wejściem do domu; miał złamaną nogę, był umazany olejem, bo potracił go samochód. Mimo że mu pomagała, wbił zęby w opuszkę jej kciuka. Przyjaciele radzili, żeby oddała go do schroniska, ale Safia dobrze wiedziała, że to nic lepszego od sierocińca. Owinęła go więc w płócienną poszewkę i zaniósła do najbliższej kliniki weterynaryjnej.

Łatwo byłoby tamtego wieczoru zrobić krok i pójść do domu, ale ona sama była kiedyś porzucona jak ten kociak. Wtedy też ktoś się nią zajął. I, podobnie jak Billiego, ją również ktoś udomowił – ale też żadne z nich nie zostało udomowione do końca, nadal lubili dzikie miejsca i penetrowanie odludnych zakątków świata.

Wszystko jednak zakończył pewnego jasnego, wiosennego dnia jeden wybuch.

To moja wina... Płacz i wrzaski ponownie wypełniły jej głowę, zmieszały się z syrenami na ulicy.

Oddychając ciężko, Safia sięgnęła do lampy przy łóżku, małej repliki Tiffany'ego w witrażowe ważki. Kilkakrotnie pstrykała przełącznikiem, ale nie było prądu. Burza musiała uszkodzić trację.

Może to tylko to.

Niech to będzie takie proste.

Wyślizgnęła się z łóżka na bosaka, ale w ciepłej flanelowej koszuli nocnej sięgającej za kolana. Podeszła do okna i odsunęła żaluzje, żeby wyjrzeć na ulicę. Mieszkała na trzecim piętrze.

Ulica, zwykle dostojna, z żelaznymi lampami i szerokimi chodnikami, teraz stała się surrealistycznym polem bitwy. Wozy strażackie i policyjne zakorkowały przejazd. Mimo deszczu buchał dym, przynajmniej jednak burza przycichła do zwyczajnej londyńskiej mżawki. Wskutek

braku zasilania nie paliły się latarnie, więc jedynym źródłem światła były migające koguty pojazdów służb ratowniczych. Mimo to gdzieś dalej, poprzez dym i mrok, prześwitywał głęboki karmazyn.

Pożar.

Serce Safii zabiło mocniej, oddech zamarł – nie z powodu zgrozy z przeszłości, ale z obecnego teraz strachu. Muzeum! Otworzyła okno i wychyliła się na deszcz. Prawie nie zauważała lodowatych kropli.

Muzeum Brytyjskie znajdowało się zaledwie kilka kroków od jej mieszkania. Północno-wschodni róg muzeum leżał w ognistych gruzach. Płomienie błyskały między potrząskanymi oknami górnych pięter, dym buchał konwulsyjnie ciężkimi kłębami. Ludzie w maskach ciągnęli węże. Strumienie wody leciały wysoko. Drabiny wyrastały w ciemność z platform na strażackich wozach.

I jeszcze, co najgorsze, na pierwszym piętrze północno-wschodniego rogu zionęła dymem wielka dziura. Gruz i okopcone bloki cementu leżały porozrzucane na ulicy. Najpewniej nie usłyszała wybuchu albo przypisała go burzy. Ale to nie był skutek uderzenia pioruna.

Raczej wybuch bomby... atak terrorystyczny. Nie, znowu...

Poczuła, że miękną jej kolana. Północne skrzydło... jej skrzydło. Wiedziała, że dymiąca dziura prowadzi do galerii na końcu holu. Cała jej praca, trwające całe życie badania, zbiory, tysiące antyków z jej ojczyzny... Nie do pojęcia. Niedowierzenie czyniło ten widok jeszcze bardziej nierealnym koszmarem, z którego za chwilę się obudzi.

Cofnęła się ku bezpieczeństwu i normalności pokoju. Odwróciła się od krzyków i błyskających świateł. W ciemności witrażowe ważki zakwitły życiem. Patrzyła, nie potrafiąc zrozumieć. Wreszcie przywrócono zasilanie.

W tej samej chwili zadzwonił stojący na stoliku nocnym telefon. Drgnęła przestraszona.

Billie podniósł głowę i postawił czujnie uszy.

Pospieszyła do aparatu i podniosła słuchawkę.

– Halo?

Odezwał się surowy, profesjonalny głos:

– Doktor al-Maaz?

– Tak?

– Tu kapitan Hogan. W muzeum doszło do wypadku.

– Wypadek? – Cokolwiek zdarzyło się w muzeum, na pewno było to więcej niż tylko wypadek.

– Tak. Dyrektor muzeum zażądał, żebym po panią zadzwonił. Od będzie się narada. Czy może pani przyjechać w ciągu godziny?

– Tak, kapitanie, zaraz będę.

– Świetnie, zostawię pani nazwisko w punktach kontrolnych. – W słuchawce szczęknęło, kapitan przerwał połączenie.

Safia rozejrzała się po sypialni. Billie uderzał ogonem o kołdrę w kocim wyrazie niezadowolenia z powodu niekończących się nocnych zakłóceń.

– Niedługo wrócę – wymamrotała Safia, niepewna, czy to prawda.

Za oknem syreny nadal wyły.

Panika, która ją obudziła, nie zniknęła do końca. Poczucie bezpieczeństwa, jakiego doznawała w muzealnych wnętrzach, zostało zagrożone. Cztery lata temu uciekła ze świata, w którym kobiety przypinają sobie na piersiach bomby. Uciekła do bezpieczeństwa i uporządkowania akademickiego życia, porzuciła pracę w terenie na rzecz papierkowej roboty, cisnęła kilof i łopatę dla komputerów i wydruków. Stworzyła sobie w muzeum niewielką niszę, w której czuła się bezpieczna. To był jej dom.

Katastrofa jednak znalazła ją i tutaj.

Ręce jej się trzęsły. Musiała złapać jedną rękę drugą, żeby zwalczyć kolejny atak. Chciała tylko jednego – wczłogać się z powrotem do łóżka i naciągnąć kołdrę na głowę.

Billie wpatrywał się w nią, a w jego oczach odbijało się światło lampy.

– Nic mi nie będzie. Wszystko w porządku – powiedziała spokojnie, bardziej do siebie niż do kota.

Żadne z nich nie było o tym przekonane.

Fort Meade, Maryland, USA

Godzina 9.13 czasu miejscowego

Thomas Hardey nie cierpiał, gdy mu przerywano rozwiązywanie krzyżówki w „New York Timesie”. Kulturował rytuał: należała też do niego szklanezka czterdziestoletniej szkockiej i dobre cygaro. W kominu trzaskał ogień.

Rozparł się w wielkim skórzanym fotelu, popatrzył na do połowy rozwiązanej krzyżówkę, dziurawiąc środek czubkiem montblanca.

Zmarszczył brwi nad dziewiętnaście pionowo. „Suma wszystkich ludzi”.

Kiedy zastanawiał się nad odpowiedzią, zadzwonił telefon. Wzdychając, przesunął okulary do czytania z nosa na czoło ku linii rzadniejących włosów. Zapewne to kolejna koleżanka córki dzwoni z pytaniem, jak się udała weekendowa randka.

Pochylił się i zauważył, że błyska lampka piątej linii – jego prywatnej. Ten numer miały tylko trzy osoby: prezydent, szef połączonych sztabów, i zastępca Thomasa w NSA.

Położył złożoną gazetę na kolanach i stuknął w czerwony guzik. Jednym dotknięciem uruchomił zmienny kod algorytmiczny zagłuszający połączenie.

Podniósł słuchawkę

– Tu Hardey.

– Dyrektor.

Wyprostował się zaniepokojony. Nie rozpoznał tego głosu, a przecież znał głosy wszystkich trzech osób mających ten numer, tak samo, jak znał głosy członków swojej rodziny.

– Kto mówi?

– Tony Rector. Przykro mi, że przeszkadzam o tak późnej porze.

Przebiegł w myślach wizytówki. Wiceadmirał Anthony Rector. Związany z pięcioliterowym skrótem: DARPA. Defense Advanced Research Project Agency. Departament, który nadzorował dział badawczo-rozwojowy Ministerstwa Obrony. Ich motto brzmiało: „Być pierwszymi”. Kiedy chodziło o postęp technologiczny, Stany Zjednoczone nie mogły znaleźć się na drugim miejscu.

Nigdy.

Narastało w nim uczucie grozy.

– W czym mogę panu pomóc, admirale?

– W Muzeum Brytyjskim w Londynie doszło do wybuchu – zaczął admirał, po czym podał szczegóły. Thomas sprawdził czas. Od eksplozji minęło mniej niż czterdzieści pięć minut. Zebranie tak dobrego wywiadu w tak krótkim czasie zrobiło na nim wrażenie.

Kiedy Rector skończył, Thomas zadał najbardziej oczywiste pytanie:

– Więc DARPA interesuje się tym wybuchem?

Rector odpowiedział.

Thomasowi wydało się, że w pokoju temperatura spadła o dziesięć stopni.

– Na pewno?

– Jest już tam mój zespół powołany do zbadania tej sprawy. Będę jednak musiał współpracować z brytyjskim MI5... albo może...

Alternatywa zawisała w powietrzu, niewypowiedziana nawet na bezpiecznej linii.

MI5 było brytyjskim odpowiednikiem organizacji Thomasa. Rector chciał, żeby Hardey zrobił zasłonę dymną, by zespół DARPA mógł wejść i wyjść, zanim ktokolwiek zacznie podejrzewać, co się stało. Wraz z pracownikami brytyjskiego wywiadu.

– Rozumiem – odpowiedział wreszcie Thomas. „Być pierwszymi”. Miał nadzieję, że dożyje końca tej misji. – Czy zespół jest gotowy?

– Będą gotowi na rano.

Ponieważ dalszych wyjaśnień nie było, Thomas wiedział, kto się tym zajmie. Na marginesie gazety narysował grecki znak sigma.

Σ

– Otworzę im drogę – powiedział.

– Świetnie. – Linia zamilkła.

Thomas odłożył słuchawkę na widełki, już planując kolejne posunięcia. Musi działać szybko. Popatrzył na nierozwiązaną krzyżówkę. Dzieciwnaście pionowo.

Pięcioliterowe słowo na określenie sumy wszystkich ludzi.

Jakże stosownie.

Podniósł pióro i wpisał dużymi literami.

SIGMA.

Londyn, Anglia

Godzina 2.22 czasu miejscowego

Safia stała przed czarno-żółtą taśmą. Obejmowała się ramionami, zdenerwowana i zmarznięta. W powietrzu wisiał dym. Co tu się stało? Policjant stojący za taśmą trzymał jej portfel i porównywał zdjęcie z osobą, którą miał przed oczami.

Safia zdawała sobie sprawę, że policjant może mieć problemy. W ręce trzymał kartę identyfikacyjną muzeum przedstawiającą inteligentną trzydziestolatkę o cerze koloru kawy z mlekiem, hebanowych włosach zaplecionych w ciasny warkocz i o zielonych oczach ukrytych za okulara-

mi do czytania. Przed młodym strażnikiem stała natomiast przemoczona, potargana kobieta, której włosy luźnymi kosmykami przyklejały się do twarzy. Jej oczy były zagubione, skupione na czymś za taśmą, niedostrzegające gorączkowej bieganiny dookoła.

Ekipy telewizyjne pracowały otoczone poświatą kamer. Kilka wozów transmisyjnych parkowało w bocznych przejściach. Safia zauważyła także dwa wozy wojskowe i ich załogi uzbrojone w karabiny.

Nie można było odrzucić hipotezy ataku terrorystycznego. Już słyszała takie pogłoski, gdy przepychała się przez tłum i od jakiegoś reportera. Kierowano w jej stronę podejrzliwe spojrzenia, była jedyną Arabką na ulicy. Zawarła znajomość z terroryzmem, ale nie taką, o jaką podejrzewali ją ci ludzie. A może źle interpretowała te reakcje? Forma paranoi zwanej przeczuleniem była naturalnym następstwem ataku paniki.

Safia przepychała się przez tłum, oddychając głęboko, skupiając się na swoim celu. Żałowała, że nie wzięła parasolki. Wyszła z mieszkania natychmiast po telefonie, tracąc czas tylko na włożenie spodni khaki i białej bluzki w kwiaty. Na wierzch włożyła długi do kolan prochowiec burberry, ale parasolka została na stojaku przy drzwiach. Że jej nie zabrała, Safia zorientowała się dopiero, kiedy już wyszła na deszcz. Niepokój nie pozwolił jej po nią wrócić.

Musiała się dowiedzieć, co się stało w muzeum. Ostatnie dziesięć lat spędziła, tworząc kolekcję, a przez ostatnie cztery prowadziła własne projekty badawcze poza muzeum. Co zostało zniszczone? Co da się uratować?

Deszcz znów się rozpadał, ale niebo przynajmniej nie było już takie wściekłe. Zanim dotarła do prowizorycznego przejścia w kordonie otaczającym teren, przemokła do suchej nitki.

Trzęsła się, kiedy strażnik poczuł się usatysfakcjonowany identyfikacją.

– Może pani przejść. Inspektor Samuelson czeka na panią.

Inny policjant zaprowadził ją do południowego wejścia do muzeum. Popatrzyła na kolumnową fasadę. Była solidna jak bankowy skarbiec, trwała.

Do dzisiaj...

Wprowadzono ją przez wejście, potem w dół kilkoma ciągami schodów. Minęli drzwi z napisem: TYLKO DLA PERSONELU MUZEUM. Wiedziała, dokąd idą – do podziemnego centrum ochrony.

Przed drzwiami stał uzbrojony strażnik. Skinął głową, kiedy się zbliżyli; oczekiwano ich. Otworzył drzwi.

Teraz asystował jej inny człowiek: ciemnoskóry, w niewyróżniającym się granatowym garniturze. Był o kilka centymetrów wyższy od Safii, miał siwe włosy, a jego twarz była jak zużyta skóra. Zauważyła szary cień na jego policzkach. Nie zdążył się ogolić. Zapewne wyrwano go z łóżka.

Wyciągnął twardą dłoń.

– Inspektor Geoffrey Samuelson – powiedział pewnie, mocno ściskając dłoń Safii. – Dziękuję, że przyszła pani tak szybko.

Skinęła głową, zbyt zdenerwowana, by się odezwać.

– Może pójdzie pani ze mną, potrzebujemy pani pomocy przy badaniu przyczyny wybuchu.

– Ja? – wykrztusiła wreszcie. Przeszła przez pokój socjalny wypełniony ochroniarzami. Wyglądało na to, że wezwano wszystkich, z każdej zmiany. Rozpoznała kilkoro mężczyzn i kobiet, ale ci patrzyli na nią, jakby była obca. Na jej widok ucichł pomruk rozmów. Musieli wiedzieć, że została wezwana, lecz nie znali powodu. Tak jak ona. Za tą ciszą wyraźnie czuło się podejrzenia.

Wyprostowała się, irytacja wzięła górę nad niepokojem. To byli koledzy, współpracownicy. No, ale znali jej przeszłość.

Inspektor poprowadził ją do pomieszczenia w głębi korytarza. Wiedziała, że mieści się tam „gniazdo”, owalny pokój, którego ściany całkowicie pokrywały monitory.

Dostrzegła szefa ochrony, Ryana Fleminga, niskiego, krępego mężczyznę w średnim wieku. Łatwo było go poznać po łysej głowie i zakrzywionym nosie, co zapewniło mu przezwisko Łysy Orzeł. Stał obok szczupłego, wysokiego, trochę niezgrabnego mężczyzny w mundurze, który miał broń. Obaj pochylali się nad technikiem siedzącym przed monitorami. Kiedy weszła, odwrócili głowy w jej stronę.

– Doktor Safia al-Maaz, kustosz Galerii Kensington – przedstawił ją Fleming. Prostując się, skinął, żeby podeszła.

Fleming pracował w muzeum, jeszcze zanim Safia objęła swoje dzisiejsze stanowisko. Wtedy był tylko strażnikiem, przeszedł kolejne szczeble i został szefem ochrony. Cztery lata temu udaremnił kradzież preislamskiej rzeźby z jej galerii. Temu właśnie czynowi zawdzięczał funkcję, jaką pełnił obecnie. Kensingtonowie wiedzieli, jak odwdzięczać się tym, którzy się dla nich zasłużyli. Od tamtej pory szczególnie dbał o Safię i jej galerię.

Dołączyła do grupki przy ekranach, inspektor Samuelson stanął za nią. Fleming dotknął jej ramienia, w oczach miał ból.

– Tak mi przykro. Twoja galeria, twoja praca...

– Jak dużo straciliśmy?

Fleming wyglądał, jakby był chory. Wskazał jeden z ekranów. Przekaz na żywo, biało-czarny, przedstawiał widok głównego korytarza północnego skrzydła. Kłębił się w nim dym. Ludzie w ochronnych kombinizonach pracowali w całym skrzydle. Kiloro z nich zebrało się przed bramką prowadzącą do Galerii Kensington. Zdawało się, że patrzą na postać przywiązaną do kraty, chudy, szkieletowaty kształt, jakby wyniszczony strach na wróble.

Fleming pokręcił głową.

– Niedługo będzie koroner, żeby zidentyfikować te szczątki, ale my jesteśmy pewni, że to Harry Masterson, jeden z moich.

Kości nadal dymiły. To kiedyś był człowiek? Safii zmiękły nogi, cofnęła się o krok. Fleming ją podtrzymał. Płomienie o sile zdolnej wypalić ciało z kości – to przekraczało jej granice pojmowania.

– Nie rozumiem – wymamrotała. – Co tu się stało?

Człowiek w mundurze odpowiedział:

– Mamy nadzieję, że pani rzuci na to nieco światła. – Odwrócił się do technika. – Przewiń z powrotem do pierwszej zero zero.

Technik skinął głową.

Kiedy wykonywano polecenie, wojskowy odwrócił się do Safii. Jego twarz była twarda, nieprzyjazna.

– Jestem komandor Randolph, przedstawiciel wydziału antyterrorystycznego Ministerstwa Obrony.

– Antyterrorystycznego? – Safia popatrzyła na obecnych. – Była bomba?

– To trzeba sprawdzić, proszę pani – rzekł komandor.

Technik poruszył się.

– Gotowe, panie komandorze.

Randolph wskazał Safii monitor.

– Chcielibyśmy, żeby pani to obejrzała, ale to jest tajne, rozumie pani?

Nie rozumiała, ale skinęła głową.

– Puść to – rozkazał Randolph.

Kamera pokazywała tylną salę Galerii Kensington. Było ciemno, pały się tylko lampy awaryjne.

– Tak było tuż po pierwszej w nocy – powiedział komandor.

Safia patrzyła na światło płynące z sąsiedniego pomieszczenia. Z początku wyglądało na to, że ktoś wszedł z latarnią. Wkrótce jednak okazało się, że światło porusza się samodzielnie.

– Co to jest? – spytała.

– Studiowaliśmy taśmę przy użyciu szeregu filtrów – odpowiedział technik. – Wydaje się, że to zjawisko zwane piorunem kulistym. Swobodna kula plazmy wyrzucona przez burzę. Po raz pierwszy udało się to paskudztwo sfilmować.

Safia słyszała o takich zjawiskach. Kule naelektryzowanego powietrza, świecące, poruszające się horyzontalnie nad ziemią. Pojawiały się na otwartych przestrzeniach, wewnątrz domów, na pokładach samolotów, a nawet w łodziach podwodnych. Tyle że zjawiska te nie powodowały żadnych szkód. Popatrzyła znowu na monitor pokazujący dymiące zgliszcza. To na pewno nie była przyczyna wybuchu.

Kiedy się nad tym zastanawiała, na ekranie pojawiła się postać – strażnik.

– Harry Masterson – wyjaśnił Fleming.

Safia wzięła głęboki wdech. Jeśli Fleming miał rację, to był ten sam człowiek, którego kości dymiły na innym monitorze. Chciała zamknąć oczy, ale nie mogła.

Strażnik podążył za poświatą. Wydawał się tak samo zdezorientowany jak obecni w pokoju. Podniósł krótkofalówkę do ust i meldował, ale nagranie nie zawierało dźwięku.

Potem kula zatrzymała się nad podestem z jednym z eksponatów – żelazną figurą. Zniżyła się, przeniknęła przez szkło i znikła. Safia skrzywiła się, ale nic się nie stało.

Strażnik nadal mówił do krótkofalówki... aż nagle coś go zaniepokoiło. Odwrócił się, kiedy gablota zawierająca eksponat eksplodowała. Chwilę później następny wybuch pojawił się jako biały błysk, potem ekran ściemniał.

– Zatrzymaj i cofnij o cztery sekundy – rozkazał komandor Randolph.

Obraz zamarł i zaczął się cofać, migały klatki. Znowu pojawił się pokój, a potem gablota z żelaznym eksponatem.

– Zatrzymaj.

Obraz lekko drżał. Żelazny artefakt był teraz dobrze widoczny. Właściwie za dobrze. Zdawało się, że świeci własnym światłem.

– Co to, do cholery, jest? – warknął komandor.

Safia wpatrywała się w eksponat. Teraz pojęła, dlaczego została wezwana. Nikt nie rozumiał, co się stało. Nic nie miało sensu.

– Czy to rzeźba? – dopytywał się komandor. – Od kiedy jest w muzeum?

Safia wyczytała ledwie skrywane oskarżenie. Może ktoś umieścił bombę w ekspozycji? A skoro tak, to ktoś najprawdopodobniej przy tym współpracował. Kto, jeśli nie wtyczka? Ktoś, kto w przeszłości miał do czynienia z materiałami wybuchowymi.

Pokręciła głową.

– To... to nie jest rzeźba.

– No to co to jest?

– Ta żelazna figura to kawałek meteorytu... odkrytego na pustyni w Omanie pod koniec dziewiętnastego wieku.

Safia wiedziała, że historia tego eksponatu sięga o wiele głębiej w przeszłość. Przez całe wieki arabskie mity mówiły o zaginionym mieście, którego wejścia strzegł żelazny wielbłąd. Bogactwo tego miasta najprawdopodobniej przekraczało granice pojmowania. Było tak wielkie, że czarne perły leżały w stosach pod bramami, jak śmiecie. W dziewiętnastym wieku pewien beduiński tropiciel zawiódł brytyjskiego badacza w to miejsce, ale ten nie odnalazł zaginionego miasta. Znalazł jedynie kawał meteorytu na pół zagrzebany w piasku, z grubsza podobny do klęczącego wielbłąda. Czarne perły okazały się jedynie kawałkami piasku zeszlonego wskutek uderzenia meteorytu.

– Ten meteoryt przypominający wielbłąda – ciągnęła Safia – znajduje się w zbiorach Muzeum Brytyjskiego od jego założenia... chociaż leżał w magazynie, aż wreszcie znalazłam go w katalogu i dołączyłam do kolekcji.

– Kiedy to nastąpiło? – spytał detektyw Samuelson.

– Dwa lata temu.

– A więc jest tutaj dość długo. – Spojrzał na komandora, jakby to było rozwiązanie jakiegoś dawnego sporu.

– Meteoryt? – wymamrotał komandor, kręcąc głową, wyraźnie zdegustowany, że jego spiskowa teoria nie ma racji bytu. – To bez sensu.

Zamieszanie przy drzwiach sprawiło, że wszyscy odwrócili głowy. Safia zobaczyła dyrektora muzeum, Edgara Tysona, przechodzącego przez pomieszczenie ochrony. Zwykle elegancki i zadbane, teraz miał na sobie pomięty garnitur pasujący do zatroskanego wyrazu twarzy. Szarpał nerwowo białą kozią bródkę. Dopiero teraz Safia zastanowiła się nad jego podejrzaną nieobecnością. Muzeum było przecież całym jego życiem.

Jednak powód nieobecności wyjaśnił się niebawem. Właściwie to deptał dyrektorowi po piętach. Do pomieszczenia wparowała kobieta, osobowość niemal wyprzedzała osobę, jak podmuch wiatru poprzedza burzę. Wysoka, miała na sobie długi płaszcz ociekający wodą, ale sięgające ramion blond włosy o piaskowym odcieniu były suche i ułożone w łagodne fale poruszające się jak za sprawą podmuchów. Najwidoczniej nie zapomniała parasolki.

Komandor Randolph wyprostował się i zrobił krok do przodu. W jego głosie zabrzmiał szacunek.

– Lady Kensington.

Kobieta zignorowała go i zaczęła rozglądać się po pokoju. Zatrzymała wzrok na Safii. W jej oczach błysnęła ulga.

– Safio, dzięki Bogu! – Rzuciła się do przodu, objęła Safię i wyszeptała jej do ucha: – Kiedy usłyszałam... Tak często pracujesz do późna. No i nie mogłam cię złapać telefonicznie...

Safia odwzajemniła uścisk, czuła drżenie ramion kobiety. Znały się od dzieciństwa, były sobie bliższe niż siostry.

– Nic mi nie jest, Karo.

Była zaskoczona autentycznym lękiem w głosie tej skądinąd silnej kobiety. Nie widziała, by była tak poruszona, od czasu śmierci jej ojca.

Kara drżała.

– Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby cię zabrakło. – Uścisk stał się mocniejszy.

Oczy Safii wypełniły się łzami. Przypomniała sobie inny uścisk, podobne słowa: „Nie chcę cię stracić”.

Kiedy miała cztery lata, Safia straciła matkę w wypadku autobusowym. Ponieważ jej ojca dawno już nie było, została umieszczona w sierocińcu – straszliwym miejscu dla kogoś o mieszanym pochodzeniu. Rok później Kensingtonowie zabrali Safię jako towarzyszkę zabaw dla Kary, dając jej własny pokój. Safia słabo pamiętała tamten dzień. Przyszedł wysoki pan i ją zabrał.

Był to Reginald Kensington, ojciec Kary.

Z racji zbliżonego wieku i dzikiej natury Kara i Safia stały się serdecznymi przyjaciółkami. Dzielili się w nocy sekretami, bawiły wśród palm i daktylowców, wymykały do kina, pod kołdrą szeptały o marzeniach. To był cudowny czas, słodkie lato bez końca.

Kiedy Safia miała dziesięć lat, przyszła dramatyczna wiadomość: lord Kensington postanowił, że Kara wyjedzie na dwa lata do Anglii, żeby się uczyć. Załamana Safia nie potrafiła nawet przeprosić, pobiegła do swoje-

go pokoju ze złamanym sercem, zrozpaczona, że będzie musiała wrócić do sierocińca. Czuła się jak zabawka odłożona do pudełka. Kara jednak ją odszukała. „Nie chcę cię stracić – mówiła wśród uścisków i łez. – Przekonam ojca, żebyś pojechała ze mną”.

I dotrzymała słowa.

Safia pojechała z Karą. Uczyły się razem, jak siostry, jak najlepsze przyjaciółki. Kiedy wróciły do Omanu, nadal były nierozłączne. Razem ukończyły szkołę w Maskacie. Wszystko układało się wspaniale, aż Kara wróciła z urodzinowego polowania spalona słońcem i zrozpaczona.

Ojciec z nią nie wrócił.

„Zginął w ruchomych piaskach”, brzmiała oficjalna wersja, ale ciała Reginalda Kensingtona nigdy nie odnaleziono.

Od tej pory Kara nie była sobą. Nadal trzymała Safię przy sobie, ale bardziej z potrzeby bliskości niż z prawdziwej przyjaźni. Pochłonęła ją konieczność ukończenia studiów i proces przejmowania ojcowskich firm. W wieku dziewiętnastu otrzymała dyplom Oksfordu.

Młoda kobieta okazała się finansowym mędrcem, potrając wartość ojcowskiej fortuny, jeszcze kiedy była na uniwersytecie. Firma Kensington Wells, Inc. kontynuowała wzrost, wchodząc w kolejne dziedziny: platformy technologii komputerowych, patenty dotyczące odsalania, telewizja. Jednak Kara nigdy nie zapomniała o podstawowym źródle dobrobytu rodziny, ropie naftowej. Nie dalej jak w zeszłym roku Kensington przewyższył korporację Halliburton w najbardziej zyskownych kontraktach naftowych.

I – podobnie jak naftowe przedsięwzięcia Kensingtona – Safia także nie została zostawiona samej sobie. Kara nadal opłacała jej studia, łącznie z sześcioletnim pobytem w Oksfordzie, gdzie Safia zdobyła doktorat z archeologii. Zaczęła pracować w Kensington Wells, Inc. W końcu przyszło jej nadzorować ulubiony projekt Kary tutaj, w muzeum – zbiór starożytności z Półwyspu Arabskiego zapoczątkowany przez Reginalda Kensingtona. Znow – podobnie jak jego firmy – i ten projekt prosperował pod opieką Kary, stając się największą kolekcją na świecie. Dwa miesiące temu rodzina władająca Arabią Saudyjską próbowała odkupić kolekcję, by wrócić na arabską ziemię. O transakcji plotkowano, że opiewa na setki milionów.

Kara odmówiła. Kolekcja znaczyła dla niej więcej niż pieniądze. Była hołdem złożonym ojcu. Mimo że ciała nigdy nie odnaleziono, jego grób znajdował się tutaj, w samotnym skrzydle Muzeum Brytyjskiego, wśród bogactw i historii Półwyspu Arabskiego.

Ponad ramieniem przyjaciółki Safia wpatrywała się w monitor pokazujący dymiące zgliszcza. Potrafiła sobie wyobrazić, co ta strata oznacza dla Kary. Jakby ktoś zbeczczeił grób jej ojca.

– Karo... – zaczęła Safia, starając się złagodzić nadchodzący cios słowami pochodzącymi od kogoś, z kim dzieliła pasję – galeria... nie istnieje.

– Wiem. Edgar już mi powiedział. – W głosie Kary nie było wahania. Wysunęła się z uścisku Safii, jakby nagle zrobiło jej się głupio. Popatrzyła na zebranych. Wrócił znajomy władczy ton. – Co się stało? Kto to zrobił?

Strata kolekcji tak szybko po odrzuceniu saudyjskiej oferty najwyraźniej wzbudziła i jej podejrzenia.

Ponownie odtworzono nagranie. Safia przypomniła sobie, że była poproszona o zachowanie tajemnicy. Pod adresem Kary nie skierowano takiej prośby. Bogactwo daje przywileje.

Safia nie patrzyła na monitor. Spoglądała na przyjaciółkę w obawie, że nagranie może ją zranić. Kątem oka dostrzegła ostatni błysk wybuchu i ekran pociemniał. Wyraz twarzy Kary nie zmienił się, była marmurowym obrazem skupienia – Atena zamyślona.

Jednak pod koniec jej oczy zamknęły się powoli. Nie z powodu wstrząsu czy zgrozy – Safia znała aż za dobrze nastroje przyjaciółki – ale z powodu ulgi. Jej usta poruszyły się w bezgłośnym szepcie, wydobyło się z nich jedno słowo, które usłyszała tylko Safia.

– Nareszcie...

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).